

Aleksandra Kurzak - warto było czekać

Wszyscy mówią o Aleksandrze Kurzak w nowojorskiej Metropolitan Opera, w londyńskiej Covent Garden, mediolańskiej La Scali. Wszyscy piszą, że to największy sukces polskiej śpiewaczki w historii światowej wokalistyki operowej. Śpiewała pani zawsze?

Moim pierwszym marzeniem był balet i choć to marzenie niespełnione, to próbowałam tańczyć już jako mała dziewczynka. Były nawet quasi prywatne lekcje – przychodziła do nas, do domu tancerka, koleżanka mojej mamy – a nawet publiczne występy. Oczywiście nie prawdziwe, tylko wtedy gdy przychodziłam do opery, gdzie wystawiano akurat *Jeziro Łabędzie*. Wówczas wraz z koleżanką Joasią Zathey, wstawałyśmy i tańczyłyśmy w loży nad orkiestrą, wzbudzając zainteresowanie, a przynajmniej rozbawienie sąsiadów.

Wizyty w teatrze operowym, to akurat dla pani codzienność...

Moi Rodzice związani byli zawodowo z operą i odkąd pamiętam całe nasze życie rodzinne kręciło się wokół muzyki. Moje najwcześniejsze wspomnienia związane są z operą. Pamiętam *Bal maskowy* i jak bardzo bałam się trupich czaszek, które stanowiły element scenografii. Była też zawsze obowiązkowa przejażdżka na drewnianym koniu z *Kopciuszka* i wizyta na kolanach u strażaka.

A gdzie w tym wszystkim śpiew?

Jako małe dziecko zafascynowana byłam pewnym tenorem, który miał dość dziwną mimikę. Ale mówiąc poważnie, to Rodzice zorientowali się, że mam dobry słuch wówczas, gdy dałam temu namacalny dowód. Otóż miałam trzy czy cztery latka. Byłam jak zwykle na wieczornym przedstawieniu *Sprzedanej narzeczonej*, a rano odwiedziła nas zaprzyjaźniona z Mamą i śpiewająca również w spektaklu koleżanka.

Ciociu – powiedziałam – wczoraj nie trzymałaś tak długo tego „c”.

Świnia... – zwróciła się do mojej mamy śpiewaczka – dlaczego jej powiedziałaś?

Tymczasem to była moja, indywidualna konstatacja.

No, ale to jeszcze nadal trudno uznać za prawdziwy kontakt ze śpiewem operowym...

Przez dwanaście lat grałam na skrzypcach. To według moich Rodziców była prawdziwa przepustka na świat. Skończę studia, wyjadę i będę normalnie żyła. Wówczas także egzystencja muzyków i śpiewaków była nie do pozazdroszczenia. Nawet wyjazdy zagraniczne wiązały się z największymi wyrzeczeniami. Konserwy, zupki w proszku, nielegalnie przemycane do pokoju

hotelowego grzałki, aby zaoszczędzić jak najwięcej z dewizowych diet. Ale na parówki, które lubiła Ola, a o które tak trudno było wówczas w Polsce, rodzice nie żałowali pieniędzy.

A więc skrzypce i liceum muzyczne. A pozostałe przedmioty?

Przyznam, że nie przepadałam za przedmiotami ścisłymi – chemią, fizyką, choć sama matematyka sprawiała mi przyjemność. Zawsze zresztą - może dlatego, że było to liceum muzyczne – na zakończenie roku miałam świadectwo z czerwonym paskiem. Mimo to byłam lubiana przez rówieśników. Bliżej przyjaźniłam się jednak z nieco starszymi kolegami czy koleżankami. Były imprezy, na których nieźle szalałam. Na szczęście potrafiłam zawsze zachować umiar. Widziałam wielkie, autentyczne talenty muzyczne, kolegów, którzy byli wyrzucani ze szkoły, bo nie potrafili zachować odpowiednich proporcji pomiędzy pracą a zabawą.

A Rodzice o wszystkim wiedzieli?

O wszystkim. Mam wielkie szczęście mieć takich Rodziców i taki wprost obłądny z nimi kontakt. Przyjaźnimy się i nie ma dla nas tematu tabu. Tak było zawsze i tak jest dotychczas.

A więc matura i studia na wydziale skrzypiec Akademii Muzycznej. To naturalna kolej rzeczy...

I tak miało być. Jeszcze w styczniu, tuż przed maturą, miałam solowy koncert we wrocławskiej telewizji i byłam przekonana, że będę studiować skrzypce. Ale i śpiew...





Aleksandra Kurzak w *Rigoletto*

© J. Mularzowski

A skąd pomysł ze śpiewem?

Rzeczywiście, to była dla wszystkich niespodzianka. Nawet trochę i dla mnie. W szkole nie śpiewałam nawet w chórze. Inna sprawa, że operą byłam zainteresowana od dawna. Gdy wyjeżdżałam z młodzieżową orkiestrą za granicę pieniądze wydawałam głównie na płyty. Pamiętam *Toscę* z Leontyną Price i *Pajace* z Marią Callas. To wówczas zafascynowały mnie namiętności targające bohaterkami dramatów operowych. Śpiewałam słuchając tych nagrań i aż dziwne, że nie straciłam głosu nie mając najmniejszego pojęcia o technice. Do pewnych umiejętności doszłam drogą naturalną. Poza tym – co ciekawe - gdy grałam na skrzypcach, przed koncertami, a często i na próbach, zjadała mnie trema. Do tego stopnia, że nie byłam w stanie grać. W śpiewie nie wiem co to trema. Może bywała na początku studiów, przed egzaminami, ale teraz już nie wiem co to strach. Czuję tylko odpowiedzialność. Cały czas rozwijam się i uczę. Wiem, że wszystko się uda. To efekt dobrego stanu psychicznego, poukładanego życia osobistego. Co innego wcielić się na scenie w postać tragicznej bohaterki, co innego samej cierpieć. Ostatnio rozmawiałam w Weronie na ten temat z Igozem Mitorajem i oboje doszliśmy do wniosku, że cierpienie wcale nie uszlachetnia i ból nie pomaga w twórczości. Przeżywałam oczywiście rozstania i ciężkie rozczarowania. Wiem, że największym wrogiem dobrych związków jest rutyna i nuda. Nic nie jest dane na zawsze. Uczucia trzeba pielęgnować.

Było małżeństwo z kolegą „po fachu”...

Razem studiowaliśmy, śpiewaliśmy, ale nie było między nami na tym tle rywalizacji. Myślę, że wina za rozstanie, leży po obu stronach. To nie dzieli się równo po połowie, ale też nie jest tak, że winna jest tylko jedna osoba. Teraz jestem w związku z człowiekiem poniekąd spoza branży muzycznej. Znakomicie się rozumiemy i uzupełniamy. Mamy mnóstwo wspólnych tematów do rozmowy.

Było też śpiewanie jazzowe...

Owszem był epizod quasi jazzowy w liceum. Wzięłam udział w festiwalu „Karolek” (od Szymanowskiego), na który Wrocławska Filharmonia dawała nam salę. Podkochiwałam się wówczas w kontrabasiste grającym w zespole jazzowym i dla niego postanowiłam zaśpiewać. Nie wygrałam rywalizacji i bardzo to przeżyłam. Mój Tata widząc rozpacz ukochanej jedynaczki powiedział: - *Wiesz co Oleńko, zadzwonię do Henia Miśkiewicza (swojego kolegi z internatu) i załatwię ci w przyszłym roku występ na Koncercie Debiutów w Opolu.*

Nie zadzwonił, nie załatwił i więcej nie śpiewałam publicznie ani jazzu, ani muzyki rozrywkowej.

Pamiętam jak pierwszy raz, przed laty, usłyszałam i zobaczyłam Panią w Weselu Figara we Wrocławiu. Śpiewała tam Pani wraz Mamą.

Naprawdę pan pamięta? To było w 1999 roku i byłam na trzecim roku studiów. Śpiewałam rolę Zuzanny, a Mama była Hrabinią. Tata wówczas nie grał. Pamiętam, że był to Dzień Matki.

Daleka droga od roli pokojówki w Operze Wrocławskiej do Metropolitan i Covent Garden i do ekskluzywnego kontraktu płytowego z Deccą. Wcześniej nie było innych propozycji?

Były, były. Między innymi od Berlin Classics. Nie wiedziałam co zrobić. Z jednej strony



Aleksandra Kurzak jako Łucja

© J. Multarzyński

chciałam mieć już swoje nagrania, z drugiej, ekskluzywny kontrakt podpisany z jedną wytwórnią wyklucza współpracę z inną, bardziej prestiżową. Podzieliłam się swoimi wątpliwościami z dyrektorem Peterem Mario Katona z Covent Garden. – *Co ci da ten kontrakt?* – powiedział przez telefon mojemu agentowi – *Poczekaj, Przyjdzie taki czas , że sami się do ciebie odezwą.* Minęło dziesięć lat i byłam już bardzo blisko podpisania kontraktu z Sony. Przyszła jednak propozycja od firmy Decca. A co Decca, to Decca! Warto było czekać! Zresztą podpisałam go tuż przed premierą *Lucji z Lammermoor* w Seattle, (za którą otrzymałam tytuł Artist of the Year), w dniu śmierci jednej z największych odtwórczyń tej roli– Joan Sutherland.

Właśnie niedawno wyszła pierwsza płyta „Gioia” („Radość”) jako efekt ekskluzywnego kontraktu ze słynną firmą. Czy trudne było nagrywanie w studio? Dotychczas śpiewała Pani dla publiczności.

Nagranie płyty nie należy do najłatwiejszych zadań. Właściwie to nie spotkałam się chyba dotychczas z trudniejszym. To praca na pełnych obrotach. Można by powiedzieć 200% koncentracji. Nie ma publiczności, partnerów, świateł, sceny, kostiumu, ciągłości akcji scenicznej czyli wszystkiego co tak pomaga w stworzeniu prawdziwej postaci. Nagranie płyty wymaga niesamowitej odporności psychicznej, fizycznej, (nagrania trwały po kilka godzin dziennie), skupienia na najmniejszym detalu. Wszystko trzeba pokazać głosem, nie można pomóc sobie gestem, spojrzeniem. Cała gra aktorska musi być słyszalna w głosie, do tego słycać każdą niedoskonałość.





G. M. Kurzak

Aleksandra Kurzak
z pierwszą płytą wydaną wspólnie z Decca

A jak wyglądają Pani najbliższe plany?

W tym sezonie wystąpię w Covent Garden w Londynie i w mediolańskiej La Scali w partii Zuzanny w *Weselu Figara*, w nowojorskiej Metropolitan jako Małgosia w operze *Jaś i Małgosia*, w Los Angeles w roli Fiordiligi w *Cosi fan tutte*, Traviata w Staatsoper w Berlinie, w operze wiedeńskiej w *Napój miłosnym* jako Adina oraz w *Weselu Figara*. Nie zapominam także o polskiej publiczności i już dziś zapraszam na spektakle *Traviaty* do Opery Narodowej. Mam w planach także nagranie drugiej płyty dla wytwórni Decca, najprawdopodobniej na wiosnę 2012 roku i jeszcze mam nadzieję, że spełni się moje najskrytsze zawodowe marzenie, a mianowicie zostałam zaproszona do wystąpienia w Gali w Los Angeles u boku samego... Placido Domingo!

Gratuluję i dziękuję za rozmowę.



© Stanisław Bukowski
stanislaw.bukowski@wp.pl